Nr. 41. We Lwowie dnia 8. Października 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

PORACHUNKI.

(Indywidualizm wybujały. — „Szkoła krakowska“.)

Hola! „Chłopcy, przestańcie, bo się źle bawicie!“

Gdyby chodziło o społeczeństwo, które swe siły nadwątlone krzepi napojem, czerpanym z wielu źródeł, które swe członki zmartwiałe ogrzewa przy wielu ogniskach, któremu w drodze do rozwoju przyświecają blaski promienne i różnobarwne wielu słońc ducha i cywilizacji — dolewanie do źródeł pewnych substancji trujących w celu rzekomo leczniczym, zwracanie płomienia w dół lub w kierunku dośrodkowym, tak, aby przy nim tylko pewne jednostki mogły ogrzać się dowoli i aż nadto, odbijanie blasków słonecznych w stronę świata wegetującego lub fermentującego po za kręgiem ogólnego życia społecznego, nie byłoby zdrożnem, ani karygodnem, nawet jako próba reformy, jako chęć przekształcenia ducha i duszy danego społeczeństwa z gruntu.

Lecz społeczeństwo, które w jednem tylko źródle może gasić i gasi swoje pragnienie, które przy jednem tylko ognisku może ogrzewać i ogrzewa cały swój organizm, które w jednej tylko gwieździe może widzieć i widzi przewodniczkę swej łodzi — z konieczności musi ze wstrętem odtrącić i odtrąca też eksperymenta, dokonywane na niem, już nie ze złą wolą, już nie przez ciekawość lekkomyślną, ale nawet w dobrej wierze, w celach szlachetnych nauki i sztuki. — Ideałem takiego społeczeństwa jest obywatelskość jednostki, która w poczuciu przynależności do danej gromady, składa na ołtarzu dobra powszechnego siebie, swoje serce, swoją duszę, swoją energję, przemienioną w czyn. Takie społeczeństwo od pokolenia do pokolenia i po przez wieki błogosławiłoby rękę, któraby na razie umiała pogłębić źródło tak, aby ono obficiej i mocniej biło, podniecić żar ogniska tak, aby ono skuteczniej i szerzej grzało, zwiększyć bodaj za pomocą reflektorów światło gwiazdy-przewodniczki tak, aby jej blask nietylko przenikał do głębi, lecz i przejmował każdą jednostkę nawskroś.

Takiej ręki w naszem społeczeństwie nie widać. Natomiast z kątów, z zaułków, z dna otchłani wychylają się przedręcza nerwowe, chudo-kościste a żylaste, z palcami podgiętemi, jak zęby u grabi, z pazurami śpiczastemi, jak szpony ptaków drapieżców. Dzioby, choć zanurzone jeszcze po nozdrza w bagnie, chwytają powietrze z zewnątrz łapczywie i po każdem odetchnięciu wyrzucają z siebie plwocinę zjadliwą, pomieszaną z błotem. Dokoła nich słychać wycie: Horla! Horla! Do mnie! Przezemnie! We mnie! Ja! Ja! Samiec! Samica! Samicosamiec! Samco-samica! Piekło! Naga dusza! Absolut; Golgota! Horla! Horla!“ Szkielety skrzydeł, nieopierzone dotąd, obwisłe, do lotu górnego nie zdolne, gwałt czynią w swojem środowisku przygodnem i, miotając się z chrzęstem pod powierzchnią, ułatwiają wymianę wzajemną warstw błota, kału, iłu, pra-iłu. Życie społeczne im wstrętne, bo i środowisko, jako przygodne, zgoła nieodpowiednie. Gryfy to, czy nad-ptaki nowego znaku? Co za myśl pozioma! To genjusze z pod ciemnej gwiazdy, które w swym locie obłędnym z wszechbytu w wszechprzestrzeń zapadły chwilowo w bagno żywota ludzkiego i, żerując po wierzchu na wyraju, gotują się z hałasem piekielnym w drogę do wieczności, rade, że mogą tymczasem zamącić bagno życia pod sobą ruchami swych członków, zanieczyścić powietrze wyziewami swych pożądań, przesłonić blask gwiazdy przewodniej w górze sztandarem prawdy rzekomo bezwzględnej, który jest tylko płachtą brudną zwierzęcości nieokiełznanej żadną umową społeczną. Hi! hi! hi!

Panowie idealiści, moderniści, dekadenci, symboliści, czy jak ich tam zowią, uniesieni pychą i ambicją wygórowaną, pozwalającą im czuć się czemś poza i ponad społeczeństwem, kopią nogą pracę wieków i występują, nie z czynami,

bo na te ich nie stać, ale z manifestami, od których nastroju krew się burzy w jednostce uspołecznionej dziedzicznie i pragnącej rozwoju kultury.

Co chwila jakiś dekadent-indywidualista to tu, to owdzie wskakuje na mównicę i woła:

— »Czego chcecie od nas? Pozwólcie nam żyć i zgłębiać istotę wszechbytu, prawdę bezwzględną! Zadanie wasze skończone! Stworzyliście etykę filisterską, ciasną, krępującą ruchy i pragnienia jednostki. Teraz nasza chwila!«

I jakaż to?

Przypatrzmy się obrazowi pod jego zjawiskową, dekadencko-symbolistyczną formą:

»Oto idzie prawdziwy Zbawiciel samolubstwa i Krzyż nienawiści niesie na sobie!... Z drogi!... Nie! to za mało! Rozwalcie własnemi rękoma własne domy, pałace i kościoły, i na rumowisku gmachu społecznego wystawcie z gruzów ocalonych od zniszczenia świątynię wielką, któraby podwalinami wspierała się o środek wszechświata, a wierzchołkiem sięgała stropu niebios. Niech też będzie i ołtarz ze złota czystego, i stopnie ołtarza niech będą z marmuru przedniego, i niech będzie kazalnica z alabastru. Niech będą też barany tłuste i jałowice białe w przysionku, a wino mocne i wystałe w podziemiu, i czaszki ludzkie na pogotowiu, jako kielichy do spełniania ofiary... I haszysz odurzający w kadzielnicy też niech będzie. A oto On przyszedł i padł u podnóża świątyni. Zbliżcie się, podziwiajcie i płaczcie! Szaty jego zbrukane doświadczeniem wieków, członki pokaleczone więzami etyki umówionej, serce zakrwawione miłością bliźniego, dusza zgnębiona wiedzą. Jeszcze chwila, a umrze. Nie! Absolut nie umiera!... O radości! Podnosi się, rzuca precz od siebie pył rozumu, otrząsa się z łachmanów logiki, depce kodeks umowy społecznej, zamyka oczy na świat i ludzi, wzrokiem duszy zagląda w siebie i nareszcie staje nagi. Nuże, wybrani, otoczcie go kołem, weźcie na ramiona i wnieście do świątyni! O chwili boska! Co za widok, co za przemiana! Już jest na stopniach ołtarza, nagi w swej nagości prawej, i spełnia ofiarę. Oto wziął wino mocne a wystałe, pije je i połyka i ani się skrzywi. Oto wziął barany tłuste i jałowice białe, zarzyna je, polewa masłem przyrumienionem i zjada. Oto wziął trybularz z haszyszem odurzającym, wącha go i okadza się sam. A gdy Mu już było dobrze, usiadł na ołtarzu z nogami podwiniętemi pod siebie, jak każe Zarathustra, z głową opuszczoną na dół, tyłem do wybranych. Tłum, niegodny tajemnic ofiary, nie ma przystępu do świątyni. I wybrani podnieśli krzyk wielki, i podbiegli cwałem do ołtarza, a spiąwszy się na palce nóg, uwieńczyli skroń Jego nieśmiertelnikiem. Nieśmiertelnik — to symbol niedorzeczności wiecznej. I On, chwiejąc się w pionie, jako jest rzeczą zwyczajną pijanych i szalonych, zaczął zapadać w sen błogi, a zmysłom Jego było dobrze, a dusza Jego się obnażyła i zaczęła pożądać duszy rodzaju miłego w dotknięciu, a usta Jego, tocząc pianę, zaczęły miotać słowa po za świadomością, a mądrość ich była w ich niedorzeczności, a niedorzeczność w zestawieniu wyrazów po za logiką, a logika w uczuciu po za ścisłością rozumowania wszelkiego. Uszu ich dochodziły pomruki duszy, przejętej swoją wielkością: »Do mnie! Do mnie! Po za moją rozkoszą, niema rozkoszy! Po za mojem cierpieniem, niema cierpienia! Niech ludzkość szczeznie — wszechświat cały to Ja!«

I Mistrz zapadł w »sen twórczy«, i Jego dusza naga zaczęła się ujawniać żywiołowo, i »drżała szczęściem twórczem gwiazd«. I wybrani dziwili się, że woń ma dźwięk, a dźwięk ma kształt, a kształt ma smak, a smak ma barwę, i dobrze im z tem było. A gdy pojęli, że rozum jest niczem, wtedy poczuli w sobie siłę nadprzyrodzoną i moc wszechwładną lekceważenia, i rozpoczęli taniec dziki dokoła siebie, a żył przed nimi żydowin niektóry, autor księgi Kohelet, kaznodzieja Salomonowy, który ich był przekonał, że »pisaniu ksiąg niema końca, a czytanie jest umartwieniem ciała«, i ucieszyli mu się szczerze: Ten ci jest nasz prorok, bo powiedział, że »wszystko jest marność«, a tamten jest nasz Mistrz, bo tworzy »po za świadomością«. I wtedy poznali, że gdy Mistrz zapadał w sen, to dusza Jego wznosiła się w górę, bo to był »sen twórczy«. Jakoż! Oczy macie, a nie słyszycie, uszy macie, a nie widzicie, nozdrza macie, a nie smakujecie? Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, że gdy On jadł, pracował dla was, a gdy napawał zmysły swoje winem mocnem i haszyszem odurzającym, cierpiał za was, a gdy trawił przez sen, przez sen tworzył, i to jest dzieło Jego. Kto dawniej mówił — bredził i odrzućcie precz od siebie jego księgi. A kto dziś bredzi — mówi, i nie pytajcie o jego księgi, bo to nie potrzebne. Dość — że bredzi. I powtarzajcie za Nim słowa bez związku a nie baczcie, że sensu w nich niema, bo znaczenie słów jest głupstwem, a uczucie wielkie wyrazi się samo. Wielka zbrodnia, gdy jest wielka, jest cnotą. Wielki potwór, gdy jest wielki, jest pięknością. Wielki fałsz, gdy jest wielki, jest prawdą. Wielkie cierpienie, gdy jest wielkie, jest rozkoszą. Wielka pycha, gdy jest wielka, jest skromnością. Wielkie samolubstwo, gdy jest wielkie, jest miłością bliźniego. Wielka niedorzeczność, gdy jest wielka, jest rozumem. Wielkie nieuctwo, gdy jest wielkie, jest mądrością. Kto patrzy w siebie, ten widzi wszechświat, a kto wchodzi w obcowanie z wszechświatem, ten kala duszę swoją. Słowo ma oddawać nastrój uczucia, nie zaś znaczenie myśli, bo myśl niweczy tylko godność słowa, które jest dźwiękiem pustym. I niech literatura cała będzie jako brzęczenie cymbału brzmiącego, a poeci i pisarze jako stroiciele, i niech będzie nastrój.

I wybrani poczuli prawdę — prawdy nie należy rozumieć rozumem, ale czuć mackami duszy — i postanowili naśladować Mistrza. Najpierw

dokończyli ofiary, to jest uraczyli się resztkami wina, niedopitego z czaszki ludzkiej, nasycili się resztkami mięśni, niedogryzionych przy kościach i zaciągnęli się dymem haszyszowym, wyzianym przez Mistrza, a błąkającym się luźnie w świątyni, a następnie, gdy poczuli, że są już »opojni«, zbili się w chór, na wzór chóru genjuszów z pod ciemnej gwiazdy. I wtedy zawyli głośno, a rozdźwięcznie — wyrażenie nowe i całkiem usprawiedliwione — hymn wściekły samouwielbienia i pieśń boską materjalizacji duszy, czyli uduchowienia smaku, dotyku, kształtu, barwy, dźwięku, woni, a na początku każdej zwrotki było: Horla! horla! A na końcu każdej zwrotki było: Horla! horla! A w środku było: »Ja! ja! Absolut! Bóg!« A nie było w tem ani sensu, ani miary, ani rytmu, ani rymu, ale był nastrój — i Mistrz powiedział: Dobrze jest.

A gdy usta Jego zamilkły, świątynia sama rozbrzmiewała dźwięki pustemi. I wybranych ogarnął lęk. A kto będzie wzruszał powietrze, gdy warg nie stanie? Stwórzmy szkołę. Tedy kilku z pomiędzy wybranych, poczuwszy w sobie siłę pychy, zebrało się w kruchcie i weszli z sobą w obcowanie uczuciowe, i podeszli do Mistrza, drzemiącego na ołtarzu i obudzili, targając Jego członki mdłe, i powiedzieli doń:

»Pycha, rozwiązłość w obyczajach i mowie, samolubstwo, wstręt do nauki i kultury, nienawiść bliźniego będą odtąd stanowiły naszą cnotę — jawną, jak dotąd stanowiły naszą cnotę ukrytą. Mistrzu, zwróć twarz swoją ku nam, a namaż oczy nasze śliną swoją, aby zaniewidziały, a połóż ręce swoje na głowach naszych, aby wszelki rozum ludzki odszedł od mózgowia naszego, a odwilż wargi nasze płynem mocnym, aby miotały słowa odrzeczne, pójdziemy w świat szeroki, i przysporzymy Imieniowi Twojemu sławy, i przysporzymy ludzkości goryczy, i rozwiążemy społeczeństwo swoje, i będzie dobrze nam, jako jest Tobie, i nazwiemy się uczniami Twoimi.

(D. c. n.) *Antoni Sygietyński.*

LISTY
J. LELEWELA DO J. N. JANOWSKIEGO
z lat 1834—59 *).

Bruxelles, rue du Chône 26. 5. czerwca 1834.

Obywatelu!

Słowa Twoje, któreś mi przed kilku miesięcy adresował, doszły mię tu do Brukseli. Były dla mnie w strapieniach, jakie mieć mogę, od reszty żyjących oderwany, nie małą pociechą. Wszakże razem sprawiły małe i wesołe podziwienie. Jakto, obywatel Janowski, który starego Joachima ogłosił we Francji za admiratora oligarchji szlacheckiej, raczy się uniżać i do niego pisać? Pisze wszakże. Tem wdzięczniejszy mu jestem za słowa jego. Ale obywatel Janowski jest członkiem Towarzystwa demokratycznego: to mi na myśl przyszło i długo nie śmiałem moich z nim słów wymienić, aby mu nie zaszkodzić. Za to obywatel Płużański gotówby go wykreślić z Towarzystwa demokratycznego, bo to jest działać na szkodę Towarzystwa, wdając się z admiratorem oligarchji szlacheckiej. Słyszę, dziś obyw. Płużański gdzieś jest daleko i nie tak to u Was dziś ostro idzie, a przeto piszę sobie wesoło do Ciebie, Obywatelu. Żartów nie weźmiesz za złe, kiedy stary żartujący wyrazami serjo nie obraża się, a z mojej ustroni przyjmiesz wyraz szacunku, jaki statecznie dla Ciebie, obywatelu, zachowuję i pozdrowienie braterskie, które Ci z duszy, z serca przesyłam. Pozdrów odemnie wszystkich ziomków przychylnych, których wiążą jedne uczucia, jedne nadzieje, jednaż usilność w dopięciu, czego po nas lud, ojczyzna i ludzie zacni wymagają.

Lelewel.

A. Mr. Janowski J. Nepom.

Na adresie: Esquisse Jarrego, dane niegdyś rozdawnictwu Kom. Nar. posyła się dla zakładu. Monsieur J. N. Janowski, Polonais, à Vire (Calvados)".

Ręką, słabnącą od starości, dodaje Janowski następującą uwagę do tego listu: „Istotnie w broszurze: „Les derniers moments de la révolution de Pologne" nazwałem był Lelewela: admirateur de l' oligarchie nobiliare.

*) Listy niniejsze, dotąd nie drukowane, podajemy czytelnikom naszym, jako pamiątkę po wielkim człowieku i historyku.

Płużański Ign. Rom., jako sekretarz Komitetu centralnego Towarzystwa demokratycznego Polskiego w Paryżu, był nieco wprzód (dopóki go stamtąd do departamentu Finisterre nie wydalono) niejako osią, około której wszystko się w Towarzystwie obracało.

---

3. czerwca 1846.

Obywatelu! Przecież raz jedno głupstwo życia mego przypadło ci do gustu. Szczęść Boże! List Twój z dnia 20 maja doszedł, spodziewasz się odpowiedzi, nie wiem po co. Dostrzegasz, że nas kosztował cokolwiek nasz krok. Jeżeli mniemasz, że kosztował ze stanowiska osób naszych, to się mylisz. Kosztował z niepewności, czy zdołamy przeprowadzić całość, a przynajmniej mnogość. Rozdział, o jakim nadmieniasz, nigdy z naszej winy nie był, ale z Waszej, całkowicie z Waszej, z Waszych monopoljów.

Znam potrzeby towarzystw, potrzebę dolegliwą, bo w nich siedzi się monopoljami. Znając potrzeby, każdemu chętnie usłużę. Z literackich, usługując im, drwię do syta, polityczne i inne różnie traktuję, bo to złe uciążliwe, a potrzebne, a konieczne. Co mówisz o tolerowaniu Komitetu i nas, dawnośmy to głośno emigracji przekładali. Wszakże z przemienieniem osób Komitet mógł być groźną reprezentacją i tej potrzeba. Bo to licho, że Centralizacja nigdzie zewnątrz nie ukazała się światu. Takie tchórzostwo nie przystało emigracyjnej reprezentacji, ani to jest obojętne dla działania skutecznego w kraju.

Ale dość tego, bom trudem mym obarczony, i wydołać już przy starości staje mi się ciężko. Niedawno Twoje teksta prawne Kadłubkowe przerabiałem, o które kiedyś na mnie niesłusznie płakał, bom wtedy nie Ciebie, ale Bandtkiego chłostał. Drukuję — drukuję, abym na potem pozostał, abym po śmierci stał się groźniejszym, niż za życia.

Wybacz zrzędzenia, przyjmij to dobrem i wzajemnem sercem.

Twój życzliwy
Lelewel.

St. Wor. Zwi. zapewne niedługo zobaczę razem.

Adres: Monsieur J. N. Janowski
Cour de l' hôtel du Louvre
Laval
(Mayenne)

---

4 lipca 1846.

Obywatelu!

Niemiłe to bywają przypomnienia wymówek, ale często pożyteczne. Mówiono mi o Twem nieukontentowaniu z mej analizy Twego pisma w swoim czasie i — ile pomnę — Twój odpis mi to potwierdzał, gdy się znaleźli obrońcy, co chcieli za mną obstawać. W tej mierze żadnych wymówek niema. Bolało mię w swoim czasie, żeś był niekontent. Przytaczasz jeszcze zdarzenia i powody przy tej okoliczności, które Cię obrażać mogły, gdyby w gruncie były tak, jak Ci się zdawało, jak ci mówiono. Na nieszczęście, że wcale a wcale przypomnieć sobie nie mogę żadnych tego rodzaju bibljotek Towarzystwa warsz. okoliczności. Owa rada musiała być jakaś dorywcza, czy też, że bibljoteka miała swoją, i tego nie pomnę. Może moje imię było wówczas bez mej wiedzy podniesione. A jeżeli coś podobnego być mogło, dzięki Ci, że w zapomnienie puszczasz.

Drugiej kwestji z Wincentym C. także przypomnieć sobie nie mogę, ani tego nazwiska. Jednakże widzisz w tem zdarzeniu coś bardzo ważnego, coś bardzo nas, mnie i nieboszczyków obowiązującego.

Do Paryża i do Francji nie mam żadnego nabożeństwa, przekonany będąc, że tu na partyklarzu dużo spokojniejszym jestem.

Wymawiasz mi użycie „chrześcijaństwa" za „katolickie". Wyexkludowanie katolicyzmu dla łacinników rzymskich jest bardzo nowe, zdaje mi się, niestosowne i anachronizmem, aby do Xgo wieku odnosić. Wtedy kościół grecki również jak i łaciński, jak są i dotąd, byli katolickie. Wreszcie nie uderzam w chrześcijaństwo, tylko w cywilizację chrześcijańską łacinników.

Pozdrowienie.
Lelewel.

Adres: Monsieur J. N. Janowski
Cour de l'hôtel du Louvre
Laval
Mayenne.

---

29 listopada 1846. Bruksela.

W odpisie, Obywatelu, na Twój z 29. X. zaczynam od ogona. Kazimirscy, jak Pilichowscy i inni mają herb i przydomek Biberstein. Kiedy rząd francuski powołał Wojciecha na drogomana do podróży do Teheranu, żądał, aby się nie nazywał na ski, z polska, ale z cudzoziemska, aby rosyjskiej uniknąć reklamacji; wtedy Wojciech przydomku ruszył.

Co do moich druków, ciągle się coś pokazuje, bo z tego żyję, licho, nędznie, ale żyję, to po polsku, to po francusku. Toż Maciejowski Wacław Aleksander, w Warszawie twierdzi, żem w „Histoire de Pologne" wyczerpnął co tylko na awantaż chłopów powiedzieć można, wskazuje od jak wielu, wielu lat pchałem myśl, że w Polsce własności partykularnej nie było. Słowem krytykuje mnie, a ja to, co jego do mnie dojdzie, przy sposobności harcuję. Ale nie mam szczęścia znać wszystkiego, co on bez końca gryzmoli.

Teraz w Poznaniu drukuje się moich tomów cztery Polski średnich wieków. W Lipsku

od dwóch lat drukują się (muszą już być wydrukowane) dwa pisma o heraldyce i urzędach w Polszcze. Mała historja Rusi i Litwy podobała się, bo za kordonem dońskim etc. etc. Wdawałbym się więcej w polskie (pisma), ale upadam. Muszę się trzymać francuszczyzny i wyśpieszam coś dużego, a może nadzwyczajnego o geografji średnich wieków, o mapach jej. Żyć z tego? żyć z numizmatycznych publikacji?! Mogę powiedzieć: niepodobieństwa dokazuję. Trudno mi się rozpisywać dosyć, bo czasu na to niema.

Młodecki tu panowanie Stanisława Augusta po raz szósty pomnożone przedrukował. Żądasz notat o Czartoryskich. Tego rodzaju żądania trochę dziwne. Nieraz podobne czynisz. Żeby do czyjej publikacji notat dostarczać, trzeba wprzód wiedzieć, co w niej jest. Wreszcie coś o Czartoryskich dostarczę. Z druków, co o nich wspominasz, pewnie znasz wiele, co i mnie znane. Aktów w pielgrzymce mej żadnej nie mam — anegdoty waloruby nie nadały. W rozmowach przychodzi na myśl opowiedzieć czasem, ale pisać! Prawdziwie na to się nie zdobędę, bo w 60 roku z mojemi średnich wieków mapami na gwałt kwapić się muszę, aby coś na rok następny dla wyżywienia się przyniosły.

Ściskam serdecznie.

Lelewel.

Postaram się, aby Panowanie Stanisława Augusta, skoro wyjdzie, doszło Cię! Adres: Monsieur l' avocat J. Nepomuk Janowski Laval-Mayenne. — Rue du théatre chez M. Billard.

(D. c. n.)

MOMENT.

2)

NOWELA

ELIZY ORZESZKOWEJ.

Z samego brzmienia głosu można było odgadnąć, że istotnie wszystko jej było jedno. Szła wprost w chmurę kurzawy, krztusząc się nią, lecz jej nie widząc.

Ruchla zawołała:

— Gitla! przestań zamiatać!

Wielka miotła upadła na podłogę; Gitla stanęła u drzwi gościnnego pokoju, jakby plecami do ściany przyklejona. Biedna, chuda, śniada, w nędznej odzieży, miała jednak dwie pyszne ozdoby: wspaniałe włosy krucze i oczy bardzo piękne, z czarnemi jak noc źrenicami na błękitnych białkach. Były też one, te oczy, lękliwe i w głębi niezmiernie smutne. Wpatrywała się niemi w nieznajomą, która w żółtej mgle nie zupełnie jeszcze opadłej kurzawy ściągała z ręki rękawiczkę. Gdy ją ściągnęła, Gitla zaszeptała:

— Aj, aj!

Ruchla, stojąca w drzwiach otwartych, powtórzyła:

— Aj!

Biała, szczupła, bardzo zgrabna ręka nieznajomej, podnosząc się ku włosom, jak zielonym płomykiem błysnęła szmaragdem pierścionka.

— Może pani potrzebuje czego? — z najsłodszym w świecie uśmiechem zapytała Ruchla.

— Dziękuję. Nie potrzebuję niczego.

Ruchla z eleganckim ukłonem rzekła jeszcze:

— Może pani zaśnie troszkę. Zdaje się, że pani bardzo zmęczona.

— Nie potrzebuję niczego — powtórzyła nieznajoma.

Ruchla wysunęła się z pokoju, ale Gitla pozostała jeszcze. Jej czarne, jak noc i jak ciężka służba zahukane oczy tkwiły ciągle w nieznajomej. Jakby ją oczarowało i do miejsca przykuło to zjawisko. Tak różne, jakby na różnych glebach zrodzone, dwie te istoty miały przecież jedno podobieństwo: gardła ściśnięte w srogich rękach losu. Obie były w różne sposoby, ale niezmiernie smutne. Po chwili z koralowych ust Gitli wyszedł chrapliwy, szorstki dźwięk:

— Może samowar przynieść?

Przybyła odpowiedziała:

— Dziękuję. Nie potrzebuję niczego.

Zdjęła przytem kapelusz, z pod którego rozsypał się po czole i plecach deszcz bladozłotych włosów.

Drzwi zamknęły się zcicha za Gitlą, opuszczającą pokój. W sieni Mendel Szapir zatrzymywał przechodzącego lokaja zapytaniem:

— Kto ona taka?

Lokaj wymówił nazwisko, na którego dźwięk kilka stolic świata odpowiedziałoby

oklaskami i śpiesznem zrywaniem laurów na wieńce. Lecz Mendel Szapir słyszał je pierwszy raz w życiu i zapytywał dalej:

— Czy ona w mieście, czy na wsi mieszka? Co ona robi?

— Śpiewa! — z drwiącem trochę spojrzeniem odpowiedział człowiek w liberji.

Mendel zdziwił się.

— Śpiewa? jakto śpiewa? Ciągle śpiewa? Dlaczego śpiewa?

Lokaj z kilku pudełkami na ramionach chciał iść dalej, lecz Mendel zatrzymał go jeszcze.

— A dokąd ona jedzie?

— Do swego majątku.

— A gdzie jej majątek?

— O dziesięć mil stąd.

— Wielki majątek?

— Wielki.

Mendel Szapir skoczył ku jednym z drzwi, prowadzących do sieni, wsunął przez nie głowę i zawołał:

— Ruchla! Sza! Niechaj cicho będzie w domu. To wielka pani! Może ona teraz śpi!

Nie spała. Jasne włosy, które falą rozlały się jej po plecach, zgrabnemi rękoma zgarnęła i zwinęła z tyłu czaszki niedbale, pośpiesznie, byle jak! byle jak! Potem stanęła u okna, rozwarła je na oścież i wciągając w pierś powietrze, które wtargnęło do dusznej izby, silnie splotła i na suknię opuściła ręce. Patrzyła w przestrzeń, lecz znać było, że oczy jej długo bezsenne, z powiekami zarumienionemi, ani nieba, ani ziemi nie widziały. Wzrok ich zwrócony był wewnątrz, wpatrzony w jakąś wielką biedę, która, jak posąg kamienny na sarkofagu, leżała na sercu.

Pokój gościnny w zajezdnym domu Mendla Szapiry był, jak całe to miasteczko, biedny, okurzony, brudny. Niedaleko progu śmieci przez miotłę wypadającą z rąk Gitli pozostawione, na ścianach kilka obrazków, okrytych skorupą bez nazwy, na komodzie bukiet papierowych kwiatów bez barwy obok lampy z kloszem pękniętym. Sprzęty z żółtego drzewa; plamy, szczerby, pajęczyny — wszędzie.

Kobieta z brylantami przy uszach, z bardzo białemi rękoma, nie spostrzegała wcale śmiecia, plam, żółtych sprzętów, kwiatów papierowych i pajęczyn. Wszystko jej było jedno. Odwróciła się od okna i powoli szła ku stojącej przy ścianie kanapie. Jakimikolwiek były jej uczucia, nad wszystkiemi teraz zapanowało znużenie ciężkie, takie, jakie bywa tylko po wielkich chorobach ciała i w czasie wielkich chorób duszy. Tylko, że w wypadkach pierwszych oczy chłoną chciwie i z rozkoszą widoki świata, a w drugich przeciwnie pragną zamknąć się i usnąć, bodaj na zawsze. Na oczach nieznajomej długa bezsenność złożyła swoje omglone i różowe piętno.

Z materaca kanapy, przez dziury obicia, wyłaziły kłaki brudnej pilśni i leżała na niej poduszka, z wyszytą niegdyś na kanwie różą, monstrualnej wielkości i barwy. Nigdy zapewne na takim sprzęcie nie leżała postać tak pełna wdzięku, w taką poduszkę nie ukrywała się twarz z cerą tak delikatną, na tak brzydkiej poręczy nie opierały się ramiona tak gibkie i tak rozpacznie zarzucone na tak znużoną głowę.

W malowniczych zwojach miękkiej sukni leżała nieruchoma, nie przyzywając nikogo i nie żądając nic. Niczego nie potrzebowała.

Na rynku gwar przycichał, na niebo zaczynał wschodzić księżyc; przez otwarte okno wlatywał zapach rezedy, której trochę zakwitło cudem na wyschłej grzędzie pod oknem.

Nie słyszała, nie widziała, nie czuła nic. Wszystko jej było jedno.

Wschodzącego na niebo księżyca nikt w zajezdnym domu Mendla Szapiry nie spostrzegał. Zwinny, nerwowy Mendel nie miał ani sekundy czasu na czynienie poetycznych albo astronomicznych spostrzeżeń, bo zobaczył przejeżdżającą przez rynek bryczkę znajomego szlachcica, do którego miał interes ważny, więc co siły za nią pogonił, wołając na całe gardło: „Stój! stój!“

Ponieważ konie u bryczki biegły dość prędko, Szapir, podnosząc poły długiej odzieży, biegł coraz prędzej i wołał coraz głośniej, aż czapka przekrzywiła się mu na głowie i twarz całą w drganiach nerwowych oblał kroplisty pot. U wjazdu do jednej z uliczek bryczka zatrzymała się nakoniec i ziajany Mendel, stanąwszy przy niej, rozpoczął ze szlachcicem rozmowę długą, o interesie ważnym. Gdzież mu tam było spostrzegać, czy na niebie świeci, albo nie świeci księżyc? — Ruchla znowu, obok wielu cnót domowych, posiadała tę wadę, że była ogromnie swarliwą i krzykliwą. Może nawet wada ta powstała w niej z cnoty skrzętności gospodarskiej, bo często się zdarza, że cnoty ludzkie wyradzają się w przywary, niemniej sprawiła, że teraz, jak zresztą bywało często, dwie izby, kuchnia i sień domu rozlegały się od nieustannego i coraz wzmagającego się krzyku. Garnek stłukł się. Ruchla, wchodząc do kuchni, ujrzała na ziemi czerepy stłuczonego garnka. Kto był sprawcą nieszczęścia: jedno z dzieci, czy Gitla? Dzieci wypierały się, więc najpewniej Gitla, ta niezgrabna, głupia dziewczyna, która zawsze musi w domu szkodę jakąś zrządzić. Pomimo przestrogi Mendla, aby w domu było cicho, Ruchla głośno łajała i dzieci, każde z osobna, i Gitlę i nieobecnego męża, który wiecznie gdzieś lata, i los swój nieszczęsny, który ją dziś dotknął stratą najpiękniejszego garnka. Głośno krzycząc, głośno także chodziła, bo była otyła i ciężka.

Niegdyś musiała być dość ładną, bo w tłustej i wiecznie wzburzonej twarzy przeglądały jeszcze linje regularne, a z oczu wyglądał szafir źrenic, przygasły wprawdzie, bo rzecz dziwna! pomimo irytacji, Ruchla miała oczy przygasłe, bez blasku, i po których zaledwie poznać można było, że niegdyś były szafirowe. Takie oczy, w takich szczególniej chwilach, gdy stłucze się w domu garnek najpiękniejszy, żadnym sposobem nie mogą wznosić się ku księżycowi. Co do Gitli, ta, przez Ruchlę sfukana i pięścią w plecy uderzona, porwała wiadro i do studni pobiegła, a po chwili wracała z naczyniem pełnem wody, od którego ciężaru niedorosłe jej ciało nizko przeginało się w prawą stronę, a lewe ramię, zdala od ciała w powietrzu wyciągnięte, szmatami podartego rękawa powiewało, jak chorągwią nędzy.

U Chaima Cyglera i żony jego Małki było daleko ciszej, niż w domostwie Mendla i Ruchli, niemniej tam także nikt ani myślał o patrzeniu w górę. Owszem, w izbie pełnej większych, mniejszych i zupełnie małych łóżeczek dziecięcych, z za których można było jeszcze spostrzedz w izdebce przyległej dwie kołyski z bliźniętami, w świetle lampki z sucho sterczącym kominkiem, Chaim i Małka nizko pochylali twarze nad wielką księgą rachunkową. Zgodnem widać byli małżeństwem, bo ustami zgodnie poruszali, jednogłośnie wymawiając cyfry rozmaite: *zehn, zwanzig, hundert* i t. d. Był to duet szeptów świszczących, który ani razu do słowa: *tausend!* nie dochodził. Pomimo zajezdnego domu i sklepiku z kolonjalnemi towarami, Cyglerowie byli daleko bogatsi w łóżeczka i kołyski dziecinne, niżeli w pieniądze. Ztąd zapewne pochodziły ostre swisty w ich szepcie, niespokojne migotania oczu i gniewny ruch, z jakim Chaim rękę na księdze rachunkowej oparł, mówiąc:

— Już ja dłużej czekać nie będę! Już ja jej, tej Obuchowskiej, dłużej pobłażać nie będę! Jeżeli za tydzień pieniędzy nie odda...

— Co to za tydzień? Dlaczego za tydzień? Jutro! jutro zrana! — z uniesieniem zagadała Małka.

— Za tydzień! — powtórzył mąż.

Żona zgodziła się natychmiast.

— Niech będzie, jak powiedziałeś. To co za tydzień...

— Do sądu podam, a potem dom jej wezmę...

— Co to za dom! Chata!

— Niech sobie będzie chata! Ja ją komukolwiek z zyskiem odprzedam. Już dawno byłbym to zrobił, żebym nie oglądał się na jej biedę...

Małka z zapalczywością rzekła:

— Kiedy ona biedna, to na co herbatę pije i kaszę z takich pięknych krup gotuje, za które potem zapłacić nam nie może!

— Ty masz rację, Małka — z kolei zgodził się mąż. — Za tydzień podam na nią do sądu, a za kilka miesięcy odbiorę jej dom!

— Odbieraj! odbieraj! — dokończyła rozmowy Małka, i znowu oboje pochylili twarze nad wielką księgą rachunkową, na której karty, drobnemi cyframi okryte, nie padał ani jeden, najdrobniejszy promyk księżyca.

Jednak księżyc podnosił się na niebie coraz wyżej i światło jego, ukośnie dopiero dotykając ziemi, wydawało się mgłą srebrzystą raczej, niż światłem. W powietrzu srebrnie było, lecz jeszcze ciemnawo. W srebrzystej, lecz jeszcze ciemnawej mgle cicho stały wysokie malwy i georginje ogródka, w którym siedział na ławce człowiek nieruchomy, jak rzeźba z szarego kamienia. Czasem tylko czynił on ruch bardzo dziwny: wielką pięść, mocno ściśniętą, od kolana odrywał i czynił nią w powietrzu znak groźby, poczem znowu z ciężkością kamienia opadała mu na kolana. Cerę miał w mgle srebrzystej tak szarą, jak kamienie przydrożne, a pospolite rysy tak zaostrzone, jakby je w taki spiczasty sposób ociosało dłuto jakieś gwałtowne i razem misterne. Było to dłuto śmierci, która weszła do jego małego domu i zabiła mu syna. Tłumik szepcących kobiet stał przy płocie ogródka.

(C. d. n.)

Szkice z nad Niewiaży.

8)

Na posadach, wymagających wiadomości fachowych, spotykali się przeważnie Niemcy; dużo też Niemców zajmowało posady w zakresie służby zdrowia publicznego. Wogóle administracja i sądownictwo były polskie; językiem urzędowym posługiwano się tylko w aktach piśmiennych, n. p. obrady sądowe prowadzono po polsku, a protokół i wyrok spisywał sekretarz po rosyjsku.

Wiadomo, że w maju 1863 r., po nominacji Murawiewa wszyscy urzędnicy z wyborów Polacy

podali się do dymisji, z wyjątkiem Felicjana Karpia, marszałka szlachty pow. poniewiezkiego, który w zastępstwie spełniał obowiązki marszałka gubernjalnego. Ta okoliczność wstrzymała stanowczo na rok przeszło czynności wielu gałęzi administracji i sądownictwa; faktycznie w maju 1863 r. zaprzestały działać sądy. W końcu lipca Murawiew kazał usunąć ze służby państwowej wszystkich urzędników Polaków, a częściowo nawet Niemców, zwłaszcza urodzonych na miejscu i w Kurlandji. Osobna odezwa rządowa zawezwała Rosjan urzędników na służbę do północno-zachodniego kraju, nadając im ogromne przywileje służbowe, n. p. skrócenie lat emerytury do 16 lat i 8 miesięcy, sute zapomogi na wyjazd, potrójne milowe i strawne, podwójną gażę etatową, oraz cały szereg innych drobniejszych ułatwień i udogodnień; jeszcze większe ulgi dawano tym urzędnikom, którzy przyjechali z rodzinami, albowiem dawano im dodatki pieniężne na żonę i dzieci. Ale rzeczą najważniejszą było to, że wszelkie przewinienia służbowe i zastrzeżenia rozmaitego rodzaju zostały zniesione; został zniesiony nawet zakaz przyjmowania na służbę tych urzędników, którzy zostali od niej usunięci, nawet na mocy wyroków sądowych z wzbronieniem wstępu do niej; nie zwracano uwagi na motywy, które posłużyły do wydalenia urzędników ze służby, a zostały zanotowane w ich liście stanu, n. p. łapownictwo, pijaństwo, nieudolność i t. d. Rozumie się, w tych okolicznościach cała chmara ludzi bez czci i wiary, pozbawionych w Rosji kawałka chleba i posad przy oczyszczeniu administracji w latach 1861—1862 rzuciła się tłumnie na Litwę, do północno-zachodniego kraju, by służyć świętej sprawie rosyjskiej; był przykład, że wypędzony ze służby za łapownictwo, pijaństwo i głupotę niższy urzędnik policyjny, został zamianowany przez Murawiewa nauczycielem szkoły parafjalnej w pow. szawelskim. Prawa ręka Murawiewa, ówczesny kurator okręgu naukowego wileńskiego, ks. Szyrynskij Szachmatow, zaradził w ten sposób brakowi nauczycieli ludowych w gubernji kowieńskiej, że wykluczonych z rozporządzenia konsystorza i arcybiskupa Tweru za »złe sprawowanie się i pijaństwo« alumnów miejscowego seminarjum prawosławnego zawezwano na nauczycieli ludowych do gubernji kowieńskiej. Wśród tego motłochu ludzi z pod ciemnej gwiazdy spostrzedz można było takich, którzy w służbie rządowej w »kraju północno-zachodnim« widzieli misję kulturalną wyzwolenia chłopa litewskiego i białoruskiego z ciężkiej niewoli szlachecko-polskiej«; byli i tacy, którzy w tej służbie widzieli walkę kulturalną za ideały swobody myśli ludzkiej z ciemnotą i fanatyzmem katolickim... Była też i garść ówczesnych rewolucjonistów rosyjskich, których przysłano do nas w charakterze komisarzy do spraw włościańskich... Ale wogóle ideologów, otumanionych i odurzonych przez ówczesną prasę rosyjską było niewielu; jednego z nich znałem: po zniesieniu uniwersytetu, przyjechał, jako nauczyciel do Wilna, by szerzyć światło wiedzy; gdy rozejrzał się w stosunkach miejscowych, gdy przekonał się, że o szerzeniu światła wiedzy wśród ludu i mowy być nie może, zaczął »po szirokoj ruskoj naturie« pić... »Nie pić nie mogę, bom człowiek uczciwy — mówił — a wlazłem w to błoto przeklęte, zwane »obrusienjem«, z którego wybrnąć nie mogę«. I zapił się, — zmarł. Taki los spotkał bodaj najlepszych. Większość albo pozostała, albo została wytransportowaną szupasem nazad do Rosji, ale już za czasów potapowowskich; bardzo dużo powymierało wskutek rozmaitych nadużyć, zwłaszcza przesadnej czci Bachusa. Potomkowie ich pozostali, acz w liczbie niewielkiej; są to bodaj najgorsi z Rosjan, zamieszkałych tu, acz już nieco spolszczałych. (D. c. n.)

Z pism i książek.

„Epikurejczyk“, powieść poetyczna Tomasza Moore'a, tłumaczona z angielskiego przez Karola Forstera, Wydanie drugie poprawione. Powieść ta daje obraz życia pierwszych chrześcijan i ich stosunku do ludności pogańskiej. (Autor, Tomasz Moore, urodził się w Anglji, walczył w sprawie narodowej 1798 roku i z całym zapałem oddawał się poezji, umarł w roku 1852). Warszawa, 1899 r.

„Światy zaginione“, przez A. Zaborowskiego. Z trzeciego wydania francuskiego przełożył i uzupełnił I. K. Potocki. Z 24 figurami w tekscie. Jest to szereg luźnych rozdziałów, w których autor chce zwrócić uwagę czytelnika na zagadnienia i obrazy wspaniałe, przedstawiające życie epok minionych i mówiące o początkach i sposobie tworzenia się świata dzisiejszego, str. 225. Warszawa.

Szereg wydawnictw, które mają się ukazać z powodu jubileuszu wszechnicy Jagiellońskiej, powiększy obszerne dzieło archeologa warszawskiego, p. Matjasa Bersona, pt. *„Iluminowane rękopisy polskie“*. Dzieło to, wydane nakładem autora, a poświęcone wszechnicy, zawierać ma, oprócz tekstu krytycznego, reprodukcje kolorowe najrzadszych rękopisów polskich, począwszy od XIV-go wieku.

„Wisła“, miesięcznik geograficzno-etnograficzny. Zeszyt IV i V (kwiecień, maj) zawiera: Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego, p. Seweryna Udzielę. Lud wiejski w okolicy Przeworska, p. A. Saloniego. Opowiadanie ludowe z okolic Chodcza, p. H. Sarnowską. Materjały do bibljografji ludoznawstwa polskiego, p. A. Strzeleckiego. Poszukiwania. Bibljografja i krytyka.

Błędy językowe.

Zapominamy o zwyczaju językowym, wymagającym po wyrazach między, pomiędzy *a*, ale nie *i*, więc piszemy: między Janem i Pawłem, pomiędzy Egiptem i Anglją itp., zamiast: między Janem a Pawłem, pomiędzy Egiptem a Anglją itp.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.